

Czy Polska to Dębski?



Albert Świdziński

Czy Polska to Dębski?

„**Z atomowych obłoków absurdu zejdźmy na ziemię.** Amerykanie uważają, że nasze lęki są przesadzone: skoro NATO jest dla nich narzędziem utrzymywania pokoju w Europie, a ten pokój jest elementem ich własnej Wielkiej Strategii, to – w ich logice – nie mamy powodu do obaw. Rosja chwieje się na nogach, w związku z tym są pewni, że sobie z nią poradzą. Nie musimy się z tym zgadzać, ale powinniśmy nauczyć się komunikować nasz punkt widzenia w sposób realistyczny.” Tymi słowami swój felieton rozpoczyna Sławomir Dębski, niegdysiejszy dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, obecnie współgospodarz publikowanego na YouTube programu o sprawach międzynarodowych. Warto zwrócić uwagę na stawiane przezeń tezy, bo dopiero wówczas można zrozumieć, dlaczego państwo polskie znajduje się w miejscu, w którym się znajduje. Z ręką w nocniku, nieprzygotowana ani materialnie, ani intelektualnie na gwałtownie zachodzące w systemie międzynarodowym zmiany. Wyeksponowana na ryzyko z każdej strony (niepewna przyszłość UE,

niepewna przyszłość amerykańskiej obecności w Europie, groźba agresji ze strony Rosji, brak strategii wobec Chin), pozbawiona sprawczości i rozpaczliwie starająca się uczepić rozpadającego się na naszych oczach status quo, i nie mająca wobec niego żadnej alternatywy.

Całość sposobu myślenia (o logice trudno tu mówić) pana Dębskiego zawiera się w tytule i pierwszym zdaniu jego tekstu; jest to mikrokosmos nie tylko jego wyobrażenia o tym, czym jest Polska, ale też wynikających z potężnych braków wiedzy poglądów na temat nie tylko tego, czym jest odstraszenie nuklearne, ale również wielka strategia USA w ogóle.

Gdy chodzi o to pierwsze, zestaw poglądów pana Dębskiego jest zrozumiały; to on, człowiek z wieży, tworzył to państwo, on, Dębski, jest jego emanacją. W związku z tym nie może dziwić ani minimalizm, ani brak przekonania o własnej sprawczości, ani też brak gotowości do krytycznego przyjrzenia się własnym założeniom. Wreszcie, dziwić nie może również miałość intelektualna. Państwo polskie jest jak pan Dębski; i rzeczywiście, państwa takiego nie będzie stać ani na rozpoczęcie programu nuklearnego, ani też na podjęcie skutecznych negocjacji z Amerykanami, jeżeli to od nich uzależniamy nasze bezpieczeństwo. Co najgorsze jednak, nie będzie go stać również na właściwą ocenę konsekwencji i zmianę kursu, jeżeli okaże się, że bezpieczeństwa nie jesteśmy w stanie sobie zapewnić sami (program nuklearny), a nasi sojusznicy nie są gotowi dać nam go więcej. Bo jeżeli teraz czujemy się zagrożeni, a więcej bezpieczeństwa nie możemy zapewnić sobie sami ani nie możemy liczyć, że dadzą nam je nasi sojusznicy, to niezbędne jest zrewidowanie własnych ambicji – tak aby można było łagodzić zagrożenia w inny sposób. Takie przywództwo, jakie reprezentuje pan Dębski, jest gotowe jedynie na odgrywanie roli elity kompradorskiej, kurczowe trzymanie się iluzorycznego status quo, a finalnie doprowadzenie do klęski po odmowie podjęcia realnych działań zmierzających do poprawienia bezpieczeństwa, z post scriptum dopisanym na zmywaku na emigracji (topos doskonale znany z najnowszej historii Polski).

Bo przecież sojusznicy nie chcą nam dać więcej bezpieczeństwa, jest to całkowicie oczywiste i empirycznie weryfikowalne; do dzisiaj obowiązuje akt stanowiący NATO – Rosja. Do dzisiaj na terytorium Polski nie mogą więc stacjonować siły amerykańskie w charakterze stałym ani też nie może Polska myśleć o dołączeniu do nuclear sharing (co Amerykanie kilkakrotnie już komunikowali). Innymi słowy, państwo polskie zawiodło; zawiodł również osobiście odpowiedzialny za te klęski (jako wieloletni szef PISM) pan Dębski. Co więcej, zmiana tej sytuacji z pewnością nie jest możliwa, gdy Polska próbuje „negocjować” (o ile w ogóle próbuje) z pozycji petenta. Jest to spowodowane przede wszystkim tym, że jej argumentacja sprowadza się do próśb – a te nie wystarczą, ponieważ przychylenie się do nich zmniejszyłoby bezpieczeństwo Amerykanów, dokładnie tak, jak podniosłoby nasze!

Nie sygnalizując gotowości do poszukiwania alternatywy dla bezpieczeństwa od Amerykanów, porzucamy jedyne skuteczne narzędzie negocjacji i metodę weryfikowania wiarygodności amerykańskich zdolności.

Tego pan Dębski nie rozumie. Na tę smutną okoliczność nakładają się niestety dalsze braki. Po pierwsze, ignorancja: pan Dębski nie jest najwyraźniej świadomy chociażby tego, jak przebiegała debata pomiędzy Niemcami Zachodnimi a USA w latach 50. i 60. ubiegłego wieku. Wówczas (jak

teraz) Amerykanie intensywnie rozważali ograniczenie obecności militarnej w Europie i żyrowanie bezpieczeństwa głównie poprzez gwarancje nuklearne; ba, w 1956 roku do prasy wyciekł tzw. plan Radforda, który zakładał właściwie dokładnie to, co obecnie zawarto w niedawno opublikowanej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA. Podobnie kilka lat później, za administracji Kennedy'ego, Amerykanie na skutek problemów finansowych państwa (tzw. *Balance of Payments Crisis*) również planowali ograniczenie obecności konwencjonalnej w Europie. Wówczas niemieckie przywództwo polityczne nie wahało się grozić nuklearyzacją – licząc, że albo doprowadzi to do rewizji planów ograniczenia obecności konwencjonalnej USA w Europie, albo – jeżeli nie doprowadzi, to da Niemcom jakąś alternatywę wobec bezpieczeństwa gwarantowanego przez Amerykanów. Doprowadziło to do kryzysu w relacjach pomiędzy Bonn a Waszyngtonem – ale ostatecznie również do utrzymania amerykańskiej obecności w Niemczech Zachodnich. Gdyby wówczas stronę niemiecką reprezentowali nie Adenauer, Erhard czy Kiessinger, tylko, powiedzmy, Slavomir Eich, wówczas Niemcy nie stawialiby Amerykanom żadnych żądań i nie poszukiwaliby alternatywy; ich szczęście, a nasza tragedia polega na tym, że zachodnioniemieccy politycy aspirowali do miana mężów stanu – a nasi nie.

Podobnie, dyskusji na temat amerykańskiego odstraszenia nuklearnego lub też własnej dla niego alternatywy za „bujanie w atomowych obłokach” nie uważają południowi Koreańczycy; ba, temat ten zaczyna się przebijać nawet w Japonii, która jest przecież przypadkiem *sui generis*, jeżeli chodzi o nastawienie wobec broni jądrowej. Podobnie jest w Arabii Saudyjskiej, Turcji czy Skandynawii. Nie wszyscy są najwyraźniej tak wyczuleni na to, czego Amerykanie nie lubią, jak nasi rodzimi eksperci, wiecznie aspirujący do miana najposłuszniejszego Wuja Toma.

Nie jest oczywiście prawdą, że „europejska debata na temat alternatywnego modelu odstraszenia nuklearnego została wzbudzona miesiąc temu”; jest ona żywa co najmniej od 2020 roku, kiedy wątek alternatywy francuskiej podniósł Emmanuel Macron. Równie nieuczciwym zabiegiem jest sprowadzenie jej do kwestii Grenlandii; powodem jest zarówno relatywne słabnięcie Stanów Zjednoczonych, jak i zmieniająca się ich wielka strategia – odejście od hegemonistycznych aspiracji będących logiczną konkluzją realizowania wielkiej strategii prymatu na rzecz zestawu celów znacznie mniej ambitnych. Jeszcze raz: zamiar ten wyłożony został *explicite* w dokumentach strategicznych USA najwyższej rangi, poczynszy od Narodowej Strategii Bezpieczeństwa. Debata ta pojawiała się w Europie cyklicznie i wcześniej; chociażby podczas prezydentur Sarkozy'ego, ale też w latach 90., w latach 80. podczas Euromissile Crisis czy też 60. i 50. Za każdym razem jej tłem było zachwianie wiarygodności amerykańskiego przywództwa.

Po trzecie, pan Dębski jest zdania, że dla „większości jej profesjonalnych uczestników jest jednak jasne, że żaden inny model (...) po prostu tylko arsenał amerykański, z kilkoma tysiącami głowic przenoszonych przez lotnictwo, marynarkę i rakiety balistyczne, jest w stanie wiarygodnie równoważyć porównywalny potencjał rosyjski”. Tę tezę należy rozebrać na czynniki pierwsze. Pan Dębski z lubością mówi o „profesjonalnych uczestnikach debaty”, do których z pewnością zalicza sam siebie – w ten sposób ustawia się na szlachetnych pozycjach eksperckich; on wie, że temat taki podjąć mogą tylko ignoranci.

Z pewnością powiedzieli mu to Amerykanie (pan Dębski zauważa w swoim artykule wielokrotnie i z więcej niż szczyptą dumy, że rozmawiał z nimi na temat broni jądrowej), którzy w taki sposób

ostrzegli go, że jeżeli chce być szanowany, o pewnych tematach tabu mówić absolutnie nie powinien. Problem polega na tym, że komunikat dostosowuje się do poziomu rozmówcy; jeżeli Amerykanie widzieli naprzeciw siebie urzędniczka, gotowego frymarzyć interesem własnego narodu w zamian za życzliwe spojrzenie, to trudno się dziwić, że taką właśnie strategię obrali. Niestety, legitymacja człowieka Zachodu jest fałszywa; inaczej do grona „profesjonalnych uczestników” nie tylko nie moglibyśmy zakwalifikować Emmanuela Macrona, Bruna Tertrais, prezesa Rheinmetall czy też norweskich wojskowych. Dyskusja o rozwiązaniach alternatywnych wobec amerykańskiego parasola toczy się w najlepsze, i w całej Europie, i na całym świecie, nie od dzisiaj, tylko od lat. Nie tylko wśród polityków, ale w akademii także.

Niezwykle symptomatyczne jest, że pan Dębski stara się rozbroić tę minę właśnie odwołaniem się do autorytetu „profesjonalnych uczestników”; jest w tej postawie zaklęty szereg najgorszych cech narodu polskiego, a przede wszystkim jego elit. Jest po pierwsze prowincjonalność, wyrażająca się w gotowości do bezkrytycznego powielania najbardziej powierzchownego konsensu i obawa przed zakwestionowaniem dogmatów, nawet jeżeli niesie to negatywne konsekwencje dla Polski. Do tego dochodzi też ignorancja, bo to, co pan Dębski uznaje za konsens „profesjonalnych uczestników debaty”, wcale nim nie jest.

Gdyby pan Dębski, zamiast służyć jako powielacz tez wypowiedzianych przez operatorów politycznych rzuconych na prowincjonalny odcinek polski, wykorzystał swój cenny czas na lekturę tekstów akademickich, dowiedziałby się niemal natychmiast, że nie ma bynajmniej żadnego konsensu ani w kwestii wiarygodności amerykańskiego odstraszenia, ani też poszukiwania dla niego alternatywy, czy to poprzez odstraszenie paneuropejskie, czy nawet narodowe. Wreszcie, jest w wypowiedzi pana Dębskiego zawarta też szyta grubymi nićmi oraz pozbawiona wdzięku próba pozycjonowania się w roli gminnego szamana, tłumaczącego swoim pobratymcom, jak jeść bezę.

Warto też zauważyć, że teza, którą pan Dębski wypowiada nieznoszącym sprzeciwu tonem rasowego eksperta, a mianowicie ta, że nie ma alternatywy dla amerykańskiego odstraszenia, bo „Amerykanie mają tyle, co Rosjanie”, wcale nie jest dogmatem. Gdyby pan Dębski lepiej spożytkował lata funkcjonowania za publiczne pieniądze, mógłby się dowiedzieć, że jest ona w gruncie rzeczy odbiciem dyskusji pomiędzy Bernardem Brodie i P.M.S. Blackettem z jednej strony a Albertem Wohlstetterem z drugiej. Ich dyskusja sprowadzała się do tego, czy „równowaga strachu jest stabilna czy krucha”. Zachęcam pana Dębskiego do lektury mojej książki „Nasza bomba”, gdzie argumenty obu stron tej dyskusji zostały przedstawione dość szczegółowo. Tę pracę intelektualną powinni wykonać, bo jest to ich psi obowiązek, pan Dębski i podlegli mu niegdyś analitycy – ale, i tu państwo polskie nie dowiozło, zadanie to musiał wziąć na barki sektor prywatny – ku wielkiemu oburzeniu licencjonowanych szamanów.

Ale nawet jeśli się zaakceptuje, że Mount Everestem ambicji eksperckich pana Dębskiego jest powtórzenie tego, co akurat zrozumiał z jakiegoś panelu na Munich Security Conference, do tego, aby podważyć jego logikę, wystarczy pięć minut z komputerem podłączonym do internetu i – przede wszystkim – zdolność krytycznego myślenia. Pan Dębski winien się dowiedzieć, że arsenał nuklearny zarówno Chin, jak i Francji czy Korei Północnej przez lata był nie tylko wielokrotnie mniejszy niż arsenały państw, które miał odstraszać (odpowiednio: ZSRR i USA, ZSRR oraz USA), ale też że państwa te nie dysponowały przez lata, a czasami dekady środkami przenoszenia pozwalającymi na

doniesienie posiadanych przez siebie głowic nad centra populacji przeciwników. Dowodzi tego chociażby Christopher Clary w swoim tekście „Survivalability in the Era of Counterforce” (widać nie można go uznać za „poważnego eksperta”).

Pan Dębski pisze, że „Polska ma renomę lojalnego sojusznika Stanów Zjednoczonych”; z pewnością tak jest – ale tylko wówczas, gdy „lojalnego” zdefiniujemy jako „niezadającego trudnych pytań”. To właśnie pan Dębski proponuje, tak rozumie swoją misję – i niestety taka właśnie jest rzeczywistość. Pan Dębski zinternalizował argumenty Amerykanów za tym, żeby nie dać Polsce więcej bezpieczeństwa.

Polacy o coś uniżenie prosili, a Amerykanie odpowiadali twardym „nie” i na tym się cała historia kończyła. Nawet więc jeżeli na początku swojej kariery pan Dębski o coś prosił, straumatyzowany kolejnymi odmowami szybko nauczył się, że właściwą drogą do uniknięcia nieprzyjemności jest nie prosić o nic.

Pan Dębski pisze: „Od 80 lat zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w utrzymywanie pokoju w Europie opiera się na dwóch amerykańskich monopolach – dostarczaniu Europie rozszerzonego odstraszania jądrowego oraz kształtowaniu równowagi strategicznej z Rosją”. Pan Dębski wspomina, że zetknął się z tymi monopolami podczas negocjacji dotyczących instalacji antybalistycznych w Redzikowie oraz podczas resetu; za każdym razem jego rola była „symboliczna”; realne dyskusje toczyły się pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą, a pan Dębski grał rolę paprotki. Dziwić nie powinno, że pan Dębski przyznaje to bez wstydu – taka jego rola w świecie. Zwróćmy uwagę: za pierwszym razem dotyczyło to – tak przynajmniej uważali Rosjanie – kwestii zagrożenia egzystencjalnego dla ich państwa, za drugim fundamentalnej zmiany relacji pomiędzy USA a Rosją; za każdym razem reprezentujący państwo polskie pan Dębski, jak sam przyznaje, był niemy, a „Waszyngton nie uważał (...) za niezbędne, aby o swojej decyzji uprzedzić Polaków”.

Dębski przyznaje, że interesy Polski – którą miał reprezentować – były ignorowane i później, jak wtedy, gdy nie udało się doprowadzić do abrogacji przez NATO wspomnianego już aktu stanowiącego NATO – Rosja, czy wtedy, gdy Polacy zabiegali o dołączenie do nuclear sharing. Podobnie gładko zaakceptował i inne decyzje Ameryki, w tym „odmowę sprzedaży Polsce Tomahawków, rozmieszczenia takich amerykańskich pocisków na naszym terytorium”.

Dlaczego? Amerykanie wytłumaczyli panu Dębskiemu, dlaczego: otóż nie jest to w ich interesie, bo groziłoby to stabilności strategicznej pomiędzy nimi a Rosją. Niestety pan Dębski przyjął do wiadomości logikę wywodu Amerykanów, która – „choć irytująca z polskiej perspektywy – była spójna”, i nie tylko jej nie kwestionował (a przecież to, że coś jest spójne z amerykańskiej perspektywy, nie oznacza, że jest to dobre dla nas; spójność nie jest miernikiem zgodności z interesami Polski), ale też nie wykonał dodatkowej pracy intelektualnej, nie zapytał: dlaczego tak jest? Czy można to zmienić? Co z tego wynika dla Polski?

Gdyby pan Dębski tę pracę wykonał, mógłby dojść do niepokojących wniosków. To, że Amerykanie chcą utrzymania stanu stabilności strategicznej w relacjach z Moskwą, może służyć im samym i Moskwie, ale nie interesom Polski. Stan stabilności strategicznej daje bowiem Amerykanom kontrolę nad eskalacją; Amerykanie unikają w ten sposób zaistnienia automatyzmów postępowania, gdyby doszło do konfliktu, i uzyskują maksimum kontroli nad procesami eskalacji w tym hipotetycznym

konflikcie. To wszystko jest im potrzebne, ale jednocześnie jest dowodem braku chęci do zaakceptowania ryzyka; dają sobie przestrzeń do manewru politycznego, jeżeli pomiędzy NATO a Rosją coś poszłoby bardzo nie tak.

Taką dozę automatyzmu (kosztem stabilności strategicznej) dałoby się uzyskać poprzez dyslokacje sił amerykańskich w te miejsca na wschodniej flance, gdzie byłyby one skazane na bezpośrednie starcie z siłami rosyjskimi w przypadku wybuchu wojny. Chodzi tu o miejsca takie jak Narwa, przesmyk suwalski czy Mariampol. Chodzi tu o rozmieszczenie w Polsce amerykańskiej broni jądrowej w ramach NATO Nuclear Sharing.

Dlaczego jest to tak ważne? Z tego samego powodu, dla którego tak ważne dla Niemiec Zachodnich było utrzymanie amerykańskich żołnierzy w Berlinie Zachodnim. Aby powiązać obecność konwencjonalną z rozszerzonym odstraszaniem nuklearnym – a tym samym nadać chociaż pozory wiarygodności propozycji z gruntu niewiarygodnej. Że Amerykanie jednak zaryzykują Waszyngton za Paryż; Nowy Jork za Białystok; Boston za Tallin. Tylko wybitny intelektualista w rodzaju pana Dębskiego jest gotów przyjąć tę obietnicę bezkrytycznie; wszyscy inni uznają ją za wysoce niewiarygodną. Wstydliwie i pośrednio zauważa to i sam pan Dębski, pisząc, że „już ponad 70 lat temu Europejczycy angażowali się” w podobne rozważania. Nie uczynił tego najwyraźniej pan Dębski, któremu nie wypada.

Jaki jest więc sposób na uwiarygodnienie tej propozycji? Jak zauważa Thomas Schelling, sposobem na to jest dobrowolne „spalenie za sobą mostów” przez Amerykanów, postawienie się w sytuacji, w której to nie do nich będzie należała decyzja o roli, jaką odegrają w potencjalnej wojnie. To właśnie było celem stacjonowania w Berlinie Zachodnim (położonym głęboko na terytorium Niemiec Wschodnich) kilku, kilkunastu tysięcy amerykańskich żołnierzy, otoczonych setkami tysięcy żołnierzy NRD i ZSRR. Żołnierze USA byli tam w charakterze zakładników, których rolą było umrzeć w pierwszych godzinach wojny, wiążąc interesy USA i europejskich państw NATO natychmiast. Zaburzając logiczne postępowanie poprzez wprowadzenie pierwiastka emocjonalnego (jak zareagowaliby amerykańscy politycy i społeczeństwo na wieść o śmierci nie tylko kilkunastu tysięcy żołnierzy, ale też ich rodzin? – bo były z nimi w Berlinie Zachodnim ich rodziny) rosła szansa, że Amerykanie jednak zadecydują o tym, żeby do wojny wejść, nawet wiedząc, że w jej toku i oni sami (a nie ich europejscy sojusznicy) mogą paść ofiarą sowieckiego ataku nuklearnego.

I tu objawienie dla pana Dębskiego: obecność żołnierzy amerykańskich w Berlinie Zachodnim była głęboko niekorzystna dla stabilności strategicznej pomiędzy USA a ZSRR. Oczywiście Amerykanie o tym wiedzieli; prywatnie bezsens utrzymywania jej dostrzegali nie tylko Kennan, ale i Kennedy. A jednak Amerykanie tam byli, wbrew własnej woli – czy było tak, bo Niemcy Zachodnie grzecznie prosiły i jak pan Dębski zapewniały, że „nic w naszym podejściu do odstraszania jądrowego się nie zmieniło i nie zmieni”? Otóż nie – Niemcy Zachodnie wcale takich deklaracji składać nie chciały; groziły Amerykanom, że jeżeli ci nie zapewnią im bezpieczeństwa, oni sami poszukają alternatywy. I Amerykanie w Berlinie Zachodnim zostali. Niemcy Zachodnie nie bały się więc zrobić tego, co pan Dębski w swoim tekście potępia.

Tylko, że wówczas za takim rozwiązaniem przemawiały również interesy USA – znacznie bardziej niż teraz. Wtedy Sowietci faktycznie mogli myśleć o zdominowaniu całej Europy i ustanowieniu hegemonii regionalnej. Połączenie zasobności i technologii Europy Zachodniej z sowieckimi zasobami

demograficznymi, surowcami i siłą militarną mogło stworzyć podmiot, który byłby w stanie zagrozić Stanom Zjednoczonym bezpośrednio. Teraz jest inaczej; jak *explicite* stwierdza się w Narodowej Strategii Obrony, Rosja nie ma potencjału, aby myśleć o hegemonii regionalnej, a jedyną dziedziną, w której dorównuje amerykańskiej sile, są jej zdolności nuklearne. W tej sytuacji dopuszczenie przez Amerykanów do sytuacji, w której automatyzmy mogłyby doprowadzić do ich uwikłania się w wojnę bez kontroli nad eskalacją, byłoby po prostu katastrofalnym błędem.

Pan Dębski stwierdza, że „ci, którzy naprawdę mogą ocenić wiarygodność amerykańskiego parasola jądrowego – Rosjanie – najwyraźniej wątpliwości nie mają (...) ani razu – przez 80 lat – nie odważyła się jednak zaatakować któregokolwiek z członków Sojuszu, choć z wojskowego punktu widzenia najłatwiejszym celem byłyby małe, pozbawione głębi strategicznej państwa bałtyckie”.

Pomijając już to, że państwa bałtyckie są w NATO od nieco ponad dwóch dekad, a nie od ośmiu, warto zwrócić uwagę na kilka kwestii. Panu Dębskiemu w zupełności zdaje się wystarczać to, że w przeszłości ZSRR nie zaatakował NATO. Nie dostrzega on jednocześnie, że sytuacja strategiczna uległa znacznej zmianie, a poprzednie doświadczenia nie muszą być niezawodnym wyznacznikiem wydarzeń przyszłych. W Europie od 1945 roku nie było dużej wojny – aż do roku 2022. Co więcej, właśnie to, że Rosja nie jest dla USA równorzędnym rywalem ani nawet bezpośrednim zagrożeniem dla Europy Zachodniej, a zarazem jest gotowa używać siły w celu rewizji ładu międzynarodowego, generuje jeszcze poważniejsze zagrożenia dla Polski. Zmniejsza gotowość do akceptacji ryzyka eskalacji ze strony naszych partnerów (bo dla nich wojna z Rosją na wschodniej flance nie ma wymiaru egzystencjalnego), ale nijak nie zmniejsza zagrożeń dla Polski. Wreszcie, jasno wyznaczone priorytety polityki amerykańskiej (dobrostan samych Amerykanów, półkula zachodnia, Chiny, dopiero potem Europa) każą sytuować Europę jako teatr dla USA czwartorzędny; szaleństwem byłoby wikłanie się przez Waszyngton w wojnę w obronie Polski.

Problem polega na tym, że taka konkluzja (podobnie jak jakikolwiek postulat poprawy amerykańskich gwarancji przez Polskę) jest traktowana przez pana Dębskiego jako dowód nie tylko oszołomstwa, ale – kto wie – może nawet zdrady; jest to takie myślenie, które „działa dokładnie tak, jak życzyliby sobie tego rosyjscy i chińscy planiści wojen kognitywnych”. Zamiast tego pan Dębski postuluje, aby kontynuować impotentną politykę, jaką prowadził on sam. Jest to propozycja groteskowa, połowa bowiem jego tekstu jest opisem nieskutecznych kolejnych podejmowanych przez państwo polskie, z Dębskim na czele, prób wyblągania od Amerykanów bezpieczeństwa, z których **żadna nie przyniosła rezultatu, co on sam przyznaje**. Píše więc o potrzebie „inwestowania w pociski manewrujące i inne środki rażenia średniego i dalekiego zasięgu” – chociaż chwilę wcześniej przyznał, że próba ich nabycia od Ameryki zakończyła się porażką. Píše, aby „zabiegać o formalne wypowiedzenie przez NATO aktu stanowiącego NATO – Rosja” – chociaż chwilę wcześniej przyznawał, że on sam próbował i nic to nie dało. Postuluje, aby konsekwentnie domagać się włączenia Polski do programu nuclear sharing – chociaż chwilę wcześniej przyznawał, że on sam próbował – i nic to nie dało.

Czy pan Dębski proponuje jakąś alternatywną wobec postawy służebnej metodę osiągnięcia tych celów? Absolutnie nie; jego zdaniem „powinniśmy nauczyć się komunikować nasz punkt widzenia w sposób realistyczny i konsekwentny”. Trzeba zadać pytanie: jak komunikował swoje poglądy

Amerykanom pan Dębski przez te wszystkie bezpłodne lata swojej wysługi w roli szefa Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych?! Nierealistycznie i niekonsekwentnie?

Czyżby Amerykanie przez te wszystkie lata nie zrozumieli, o co panu Dębskiemu chodzi?! Porozumiewał się z nimi w innych rejestrach?! Myśleli, że pan Dębski żartuje?!

Te słowa pana Dębskiego są najlepszym podsumowaniem jego samego i państwa, które współtworzył. Mieszanki rozbuchanego ego, braku elementarnej wiedzy, głębokich kompleksów wynikających z przeświadczenia o własnej prowincjonalności i próby podreperowania się kosztem interesów własnego narodu, który przez lata płacił panu Dębskiemu pensję. Tchórzostwa, obojętności, nijakości, miałości intelektualnej.

Zaprawdę, Dębski jest jak państwo polskie. Pytanie, czy to wszystko? Czy wszystko, czym może być Polska, to Dębski?